

Sobota, Anna

Rocznica

Przegląd Pruszkowski nr 1, 52-58

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Siostra Józefa Ledóchowska pierwsza dyrektorka tajnych kompletów gimnazjalnych w Ołtarzewie z grupą uczennic przed domem sióstr Urszulanek (po prawej stronie siostry - Autorka)

ostrożności, jakich wymagało bezpieczeństwo młodzieży i sióstr /w tak małej miejscowości trudno było cokolwiek ukryć/. Organizatorką i pierwszą dyrektorką kompletów była siostra Józefa Ledóchowska, a drugą i ostatnią siostra Urszula Górską. Systematyczna nauka wg. programu szkół średnich była prowadzona przez obie wymienione siostry oraz następujące zakonnice: s.Andrzeję Górską, s.Anuncjatę Gerlicz, s.Antoninę Szymkiewicz, s.Barbarę Teodorczyk i s.Pię Niewiarowską. Uczyły na kompletach również osoby świeckie: p.Walentek, Krystyna Żychowska, Maria Stachurska, Dorota Gabszewicz, Zofia Kulesza i Irena Czajkowska. Lekcje religii prowadzili Pallotyni: Ks.Józef Żyto, ks.Alojzy Żuchowski i ks.Józef Dąbrowski. Dzięki siostrom Urszulankom Szarym znaczna część młodzieży Ołtarzewa, Ożarowa i najbliższych okolic nie utraciła ani jednego roku nauki i otrzymała gruntowne wykształcenie umożliwiające wielu spośród nich ukończenie zaraz po wojnie wyższych studiów. Praca wychowawcza sióstr polegała nie tylko na kształtowaniu umysłów ale i charakterów powierzonej im w opiekę młodzieży. O patriotycznym wpływie sióstr może świadczyć fakt, że wszyscy niemal uczniowie i uczennice starszych klas zaangażowani byli w pracy konspiracyjnej w szeregach AK lub NOW-AK. Najstarsi wzięli udział w Powstaniu Warszawskim, walcząc w Warszawie i Puszczy Kampinoskiej.

W niniejszym opracowaniu udało się przytoczyć jedynie niewielką część faktów z działalności sióstr Urszulanek w czasie okupacji, gdyż one same mało na ten temat mówią i piszą.

ROCZNICA



Znów zbliża się rocznica tragicznych wydarzeń - to już sześćdziesiąta! Tą rocznicą jest 17 września. Tego dnia w 1939 roku Armia Czerwona wkroczyła na nasze wschodnie ziemie. Trudno wyobrazić sobie gorszą sytuację. Z zachodu wojska niemieckie zagarniają nasze tereny, na wschodzie Ojczyzna nasza otrzymała nóż w plecy od Rosji sowieckiej.

Pamiętam, jak dzień i noc coraz to nowe pułki zmotoryzowane i piesze zalewały drogi, wsie i miasta. Istna powódź wojsk. Zdawało się, że nie będzie temu końca. Dotychczas pamiętam obrzydliwy zapach, jaki wydzielaly buty żołnierzy nasączone jakąś dziwną substancją, czuło się to nawet w naszym domu oddalonym od szosy o około 100 metrów.

Prawdopodobnie wielu Polaków nie zdawało sobie wtedy sprawy, jakie straszne przeżycia czekają nas.

Mieszkaliśmy w województwie stanisławowskim /mniej więcej 90 km. na południe od Lwowa/. W naszych stronach na szczęście nie słyszało się o rozstrzeliwaniu Polaków przez żołnierzy sowieckich. Takie wybryki zdarzały się dość często na terenach północnych, o czym dowiedziałem się dopiero po wojnie. Jedno, co spotkało wielu na całym obszarze zajętym przez wojska radzieckie, to aresztowania przeważnie mężczyzn, ale również i kobiet. Między innymi 4 października został aresztowany nasz Ojciec. Wcześniej planował przedostać się na Węgry, ale zrezygnował z tego, obawiając się późniejszego szykanowania rodziny. Sądził, że gdy się wszystko trochę ustabilizuje, będzie szukać pracy. Muszę tu wyjaśnić - mieliśmy majątek ziemski, który 26 września trzeba było opuścić z powodu rabunków i ciągłych rewizji /po kilka razy dziennie/. Tak np. któregoś dnia przyjechał oficer, grzecznie się z Ojcem przywitał i zaczął rozmowę. Ojciec zaprosił go do domu, a widząc tak "sympatycznego" człowieka, pokazał mu część mieszkania. Zaraz następnego dnia zajechał wóz z żołnierzami, bez słowa weszli do domu i brali wszystko po kolei: kili-

my zdzierali ze ścian, z kanap, ładowali pościel, koce, odzież Rodziców i naszą. Patrzyłyśmy na to z okna kuchni w bezsilnej złości. Poczułam wtedy pierwszy raz w życiu co to jest nienawiść. Musiała to być sprawka owego "miłego" - jak go określił Ojciec - oficera. Wszystko spenetrował i uznał, że dobrze się tu obłowi.

A teraz ciekawostka. Na końcu domu była kuchnia, oddzielona korytarzem od przestronnej jasnej izby, gdzie mieszkały dwie dziewczyny pracujące u nas. Wszedł tam kiedyś radziecki żołnierz, rozejrzał się i zapytał jednej z nich "Kto tu mieszka"? Odpowiedziała: "My mieszkamy". Pokręcił ze zdziwieniem głową. Widocznie wyobrażał sobie, jak ich w sowietach uczono, że u pomieszczyka służba śpi w wilgotnych pomieszczeniach na spleśniałej słomie.

Kiedyś żołnierz przy służącym otworzył szafę i powiedział: "Patrz ile twój pan ma ubrań, a ty tylko to jedno! A on na to: "Ja też mam więcej - nawet ładne na święto".

Chłopi ze wsi prosili, żebyśmy nie wyjeżdżali, że w razie potrzeby będą nas bronić, sami jednak byli niepewni. Wiem z powojennych opowiadań od osoby, która mieszkała w naszej wsi, że mścili się na każdym, kto brał dziedzica w obronę, np. naszemu stajennemu nie pozwolono za to zemieść zboża w młynie. Po wyjeździe z majątku zamieszkaliśmy w Kałuszu, naszym mieście powiatowym. Kałusz w tym czasie zupełnie stracił swój dawny wygląd. Wszędzie wisiały czerwone chorągwie - płoty, parkany, mury, szyby sklepowe upstrzono afiszami przedstawiającymi nędzarzy wyciągających ręce do krasnoarmiejców. Miało to przedstawiać ludność naszych wsi żebrzących chleba od sowieckich żołnierzy. Nasi przechodnie wyobrażali sobie w duchu, że tak musi wyglądać życie w Rosji. Na ulicach spotykało się podejrzone typy, prawdopodobnie byli to ludzie wypuszczeni z więzień. Być może, właśnie tacy zakradli się kiedyś nocą do naszej piwnicy i nas, ogołoconych, nie wahali się dodatkowo jeszcze okraść, wynosząc sporo artykułów spożywczych uratowanych przez Mamusię, gdy wyjeżdżaliśmy z domu.

Jeśli chodzi o Ojca, niestety, na nic mu się nie przydało to, że pozostał na miejscu: nie uratował siebie, a nas nie uchronił przed represjami. Do 17 lutego 1940 roku przebywał w więzieniu w Kałuszu, gdzie było mu stosunkowo najlepiej, bo rodziny mogły więźniom przynosić obiady. Dzięki temu mieliśmy ze sobą potajemny kontakt, ukrywając w obudowie termosu listy. Wszystko urwało się w dniu 17 lutego, gdy dowiedziałyśmy się, że więźniów wywieziono do Stanisławowa. Po długich poszukiwaniach udało się Mamusi odnaleźć więzienie, w którym przebywał Ojciec. Raz w miesiącu wolno było podać zmianę bielizny i coś z żywności. Udało się to Mamusi tylko raz, w marcu, w następnym miesiącu niestety - wizyta w

Stanisławowie nie doszła do skutku, ponieważ zostałyśmy wywiezione. O losie Ojca dochodziły nas od czasu do czasu mętne wiadomości, lecz niczego konkretnego nie można się było dowiedzieć. Dopiero jesienią w ubiegłym roku Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich powiadomiło nas na podstawie otrzymanej listy NKWD, że Ojciec 28 lipca 1940 roku razem z innymi więźniami został przewieziony do Kijowa i tam prawdopodobnie zginął.

Zanim doszło do wypadków opisanych wyżej siostra i ja od 1 października, zaczęłyśmy kontynuować naukę w gimnazjum, lecz pożał się Boże, jak to wszystko wyglądało. Kompletnie nie ta sama szkoła. Zamiast portretów naszych dostojników państwowych i krzyża, wisiły portrety Stalina i innych osobistości sowieckich. Religię oczywiście zniesiono. Nie było nawet choćby jednej godziny tygodniowo języka polskiego, a przed wojną w naszych stronach, ze względu na duży procent ludności ukraińskiej, język ukraiński był nawet obowiązkowy. Obecnie wszystkich przedmiotów trzeba było się uczyć po ukraińsku. Nauczyciele prawie wszyscy nowi - Ukraińcy i Żydzi. Narazie pozostawiono trzech profesorów Polaków, którzy wykładali w klasach licealnych. Nie trwało to jednak długo, bo już w październiku zaczęto ich aresztować. Dwóch uciekło m.in. mój polonista. Chcieli przekraść się na Węgry. Niestety, przy samej granicy wywęszyły ich psy wojskowe. Zostali uwięzieni, a potem skazani na łagry. Po wielu mękach, po amnestii dostali się do Armii Andersa. Jeśli chodzi o uczniów wśród niektórych nastąpiło kompletne rozluźnienie dyscypliny, wykładowcy nie byli dla nich żadnym autorytetem. Np. uczeń na lekcji potrafił rzucić jaskółką z papieru we włosy nauczyciela. Takich wybryków było sporo.

Największym wydarzeniem były "wybory" delegatów ludności, którzy mieli udać się do Moskwy z prośbą o przyłączenie naszych ziem do Rosji. Jak się okazało, były to osoby z góry zaplanowane, na które niby to ludzie głosowali. Kto temu zaprotestował był pod "opieką" władzy.

Zawiedli się ukraińscy nacjonaliści, którzy liczyli na niezależną Ukrainę. Wielu z nich znalazło się w więzieniach i łagrach.

Byliśmy już w Kazachstanie, gdy dotarła do nas wiadomość o aresztowaniu w czerwcu 1940 roku naszej ukochanej nauczycielki panny Niusi Wojnarowskiej. Nie wiem, czy miała wtedy 30 lat. Zaangażowała się we Lwowie, skąd pochodziła, do pracy podziemnej, a wiadomo /wtedy jeszcze tego nie wiedziałyśmy/, że NKWD lepiej umiało wytropić niechętnych władzy niż w Niemczech gestapo. Zmartwiłyśmy się ogromnie. Była wspaniałym człowiekiem, zdolna, oddana całym sercem młodzieży, niezwykle dobra. Zawsze pozostanie w naszej pamięci.

W czasie naszego pobytu w Kałuszu nie spodziewaliśmy się, że ludzie ze wsi tak będą o nas pamiętać. Przynosili mleko, masło, jaja i kury. Często nie chcieli nawet za to wynagrodzenia. Przychodzili mężczyźni, by narąbać drzewa na opał. Być może, chcieli zrewanżować się za rzeczy zabrane ze dworu.

Tymczasem pieniądze kończyły się i Mamusia zaczęła rozglądać się za pracą. Znalazła ją w zakładzie ogrodniczym i tak dotrwałyśmy do pamiętnego ranka 13.IV.1940. Obudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi. Przyszedł enkawudzista z dwoma ludźmi. Ostatnich chwil w domu nie opisuję, bo to jest znane - rewizja, pakowanie rzeczy, ładowanie wszystkiego na wóz i jazda na dworzec, gdzie razem z setkami takich nieszczęśników jak my, wtłoczeni zostaliśmy do ciemnych, towarowych wagonów. Po 16 dniach jazdy znaleźliśmy się w północno - zachodnim Kazachstanie. Po wyjściu z wagonu na małej stacji Tugozak, spotkałam moją szkolną koleżankę Mieczę Zentner. Z radością rzuciłyśmy się sobie w objęcia. Radość nasza nie trwała jednak długo, rozłączono nas. Część transportu skierowano na t.zw. "głodne stepy", jak je nazywała tamtejsza ludność. W kilka miesięcy później otrzymałam od Mieci dwa listy, w których opisywała straszne położenie tamtejszych Polaków. Głód niesamowity, umierały nie tylko dzieci ale i dorośli. Jej matce, żonie policjanta, pozwolono zabrać z domu jedynie najniezbędniejsze rzeczy, tak, że na wygnaniu nie miały nic do wymiany na żywność, a za pracę wiadomo, jak marnie płacono i to jeszcze z opóźnieniem. Ku naszemu żalowi nie mogłyśmy im pomóc, bo same oszczędzając, jadłyśmy przeważnie dwa razy dziennie. Na szczęście Bóg wynagrodził im te cierpienia. Ojciec został wypuszczony z łagru i być może wszyscy wyjechali do Iranu.

W pierwszym posiołku /mała wioska/ dokąd nas przywieziono, ludność /Rosjanie i Kozacy/ patrzyła na nas niechętnie. Jak się później dowiedziałam od Polaków z innych wsi, kierownictwo przed naszym przyjazdem informowało ludność, że przyjadą z Polski burżuje, którzy nic nie umieją robić i my ich dopiero nauczymy pracować! Rozmieszczono nas, z powodu braku mieszkań, w chatach tamtejszych rodzin i już następnego dnia kazano zgłosić się do pracy. Najcięższa praca była przy sianokosach i żniwach. Czasem odrywano ludzi od zajęć do gaszenia pożarów w stepie.

Jesienią Mamusię i siostrę przydzielono do pasania baranów. Ucieszyły się myśląc, że to będzie lekka praca. Niestety, były to zwierzęta chore i z tego powodu praca była wyjątkowo ciężka. Czasem baran wpadł na stepie do jakiegoś wgłębienia, a że nie miał siły wyjść o własnych siłach, trzeba było go popychać i wyciągać, a takie zwierzę to przecież ciężar. Gdy zaczął padać śnieg, Mamusia i siostra zawiadomiły kierownika ow-

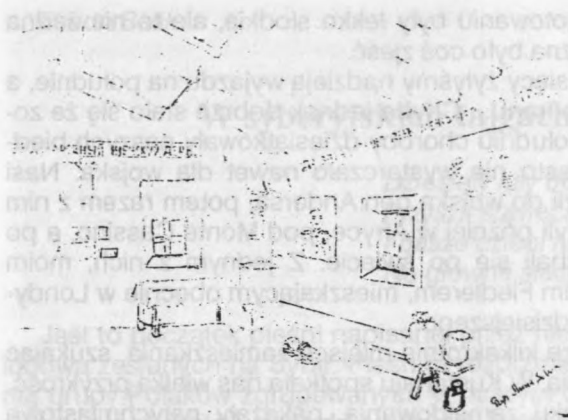
czarni, że więcej do tej pracy nie pójdą, bo mogą przepłacić to zdrowiem. Jakoś obeszło się bez większej awantury.



Ujska Ferma - maj 1940 - nasza ziemianka

Pamiętam, jaką miałyśmy satysfakcję, gdy drugiej jesieni naszego tam pobytu wyremontowałyśmy naszą chatkę. Po poprzednim gospodarzu była bardzo zaniedbana, glina kawałami odpadała od ścian. Prosiłyśmy jedynie naszą najbliższą sąsiadkę - Rosjankę, o wskazówki, jaki procent nawozu i który dodaje się do gliny, żeby załatać dziury, a jaki rodzaj nawozu do wygładzania gliną ścian po wierzchu. Najbardziej podobało mi się wygładzanie. Robiłam to nawet z przyjemnością. Myślałam wtedy o ludziach pracujących przy wyrobach z gliny /naczynia, figurki/, lubiłam patrzeć jak ona poddaje się rękom i woli człowieka. To naprawdę przyjemność. Gdy wszystko było skończone, poprosiłyśmy sąsiadkę o ocenę naszej pracy. Byłyśmy usatysfakcjonowane, gdy pochwaliła nas i otwarcie powiedziała, że na początku nie wierzyła, że to wszystko potrafimy zrobić. Niech wiedzą, że Polacy też umieją pracować i to dobrze!

Tymczasem... jakie to w życiu bywają niespodzianki. Byłyśmy zadowolone z wyremontowania chaty, ze zgromadzonego w ciągu lata opału /kizak - czyli suchy nawóz/, ze sporej ilości ziemniaków zebranych z przydzielonej nam wiosną działki. Nadejścia zimy już nie bałyśmy się tak, jak poprzedniej. A jednak na wiadomość, że możemy się wyrwać z sowcho-



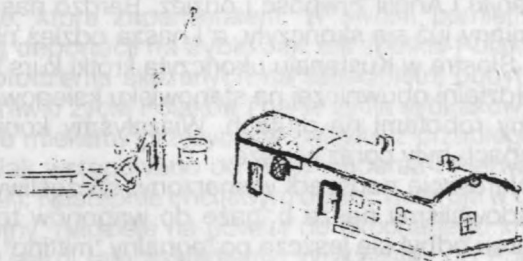
Wnętrze izby, w której na początku zostaliśmy umieszczone.
- W rogu izby ikona, obok portret Woroszyłowa.

śmy Miaso - sowchoz Nr 487, w którym, mimo jego nazwy, mięsa nie widzieliśmy. Nie wolno było sprzedawać. Był nawet zakaz dobijania na przedwiośniu ginącej z głodu krowy. Dopiero, gdy sama zakończyła życie, takiego kościotrupa można było podzielić między pracowników.

My młodzież - dziewczęta i chłopcy wyrwaliśmy się stamtąd w inny świat, ale nasze matki długo zastanawiały się jak postąpić. Ich obawy wkrótce okazały się słuszne. Po trzech dniach jazdy wołami na 30 stopniowym mrozie, pod wieczór 20 listopada zatrzymaliśmy się w rejonowym miasteczku Fiodorówce. W ciągu najbliższych dni okazało się, że jazda na południe z różnych przyczyn jest niemożliwa. I teraz znów zaczął się głód.

Pół worka ziemniaków, które zabrałyśmy ze sobą, mimo włożenia między poduszki zmarzło na kamień, ale i to się zjadło. Trzeba było tylko nie dopuścić do rozmrożenia, a na każdy posiłek szybko umyć i w mundurkach

zu, z tych bezkresnych stepów i wyruszyć tam, gdzie tworzyło się nasze wojsko, rzuciłyśmy wszystko. Po wspólnych rozpaczliwych naradach z Polkami z naszej wioski - co robić, czy wyjazd będzie właściwym krokiem, zapadła decyzja: sprzedaliśmy wszystko i to za pół darmo, bo ludność oczywiście korzystała z okazji, i z westchnieniem ulgi, przed południem dnia 18 listopada 1941 roku opuścili-



Rys. A.Sobota

Wygląd lepianki z zewnątrz.
Są to typowe lepianki w Kazachstanie.